



**You have downloaded a document from
RE-BUS
repository of the University of Silesia in Katowice**

Title: "Kaj my to som?"

Author: Aleksander Nawarecki

Citation style: Nawarecki Aleksander. (2004). "Kaj my to som?". W: W. Kalaga (red.), ""My som tukej" : kilka szkiców o przestrzeniach Śląska" (S. 9-21). Katowice : Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego



Uznanie autorstwa - Użycie niekomercyjne - Bez utworów zależnych Polska - Licencja ta zezwala na rozpowszechnianie, przedstawianie i wykonywanie utworu jedynie w celach niekomercyjnych oraz pod warunkiem zachowania go w oryginalnej postaci (nie tworzenia utworów zależnych).



UNIwersYTET ŚLĄSKI
W KATOWICACH



Biblioteka
Uniwersytetu Śląskiego



Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego

ALEKSANDER NAWARECKI

„KAJ MY TO SOM?”

W HIMALAJACH

Na początek chciałbym opowiedzieć historyjkę, prawdziwą historię, historię pewnej podróży, podróży marzeń – na koniec świata. Taka podróż wydawała się niemożliwa w polskich realiach drugiej połowy lat siedemdziesiątych. A jednak niemożliwe okazało się realne i trzy przyjaciółki, studentki mieszkające w Chorzowie – Joanna, Lucyna i Ruta – w sierpniu 1979 roku, tak jak chciały, wylądowały w Bombaju. W ciągu miesiąca pełnego przygód przemierzyły całe Indie i nie bez trudności dotarły do Nepalu. W Katmandu trafiły na buddyjskie święto – wieczór w blasku ognisk i lamp, w kadzidlonym dymie i zapachu opium, w rytmie bębnów i dźwięku piszczałek. Święto niepodobne do polskiej niedzieli, a zarazem odmienne od hinduistycznych festynów – bez wschodniego zgiełku, emocji i zaduchu tłoczonych ludzi i zwierząt. U stóp Himalajów, w ostrym górskim powietrzu muzyka brzmiała czysto, medytacyjnie. I na tym krystalicznym tle nagle rozległo się wołanie: „Kaj my to som?”

Tu, w kulminacyjnym momencie, muszę przerwać i zawiesić głos, aby oddać bezgraniczne zdumienie bohaterek mojej opowieści. Usłyszały bowiem śląską mowę, jakby echo domowego podwórka, oddalonego przecież o tysiące kilometrów. Głos z rodzimej przestrzeni, dotkliwie szarej i ciasnej, której przyziemność i więzienne zamknięcie wydawały się w tej chwili bezgranicznie odległe. Odległe i nierealne jak widmo PRL-u zapomnianego w euforii wakacyjnej ucieczki. Za-

padła cisza. Tajemniczy głos prowokował jednak do odpowiedzi. Na odzew zdobyła się Ruta, jako Ślāzaczka z dziada pradziada znała bowiem stosowną replikę i przytomnie odkrzyknęła w ciemność: „My som tukej!”. Wtedy cicho zrobiło się po drugiej stronie.

Pora na wyjaśnienie sytuacji. Sierpniowy wieczór w stolicy Nepalu spędzali także członkowie wyprawy na Lhotse, zorganizowanej przez Ślāski Klub Wysokogórski. Musieli być oczarowani, a może oszołomieni urokiem nocnego Katmandu, co sugeruje ów ekstatyczny okrzyk. Nie wiemy jednak, z czyich wyrwał się ust. Być może krzyknął Ignacy „Walek” Nędzia, rodem z Istebnej, najweselszy w grupie, często wręcz jowialny. Taka spontaniczność nie pasuje natomiast do powściągliwego Jerzego Kukuczki, który przymierzał się do pierwszego szczytu w koronie Himalajów. Przypomnijmy, że działo się to na rok przed wejściem na Mount Everest i dziesięć lat przed zimowym powrotem na Lhotse, jego pierwszy, a zarazem ostatni ośmiotysięcznik. Ślāscy alpiniści dopiero oswajali się z osobliwością Himalajów, ale dziewczęcy głos z Chorzowa mógł być dla nich jeszcze większą niespodzianką; tak jakby na dachu świata rozległo się wołanie Yeti.

Zaraziłem się tym zdziwieniem i zapamiętałem historię sprzed ćwierćwiecza lepiej niż jej bohaterki i bohaterowie, lepiej niż własne przygody. Dlaczego? Dlaczego kradnę cudzą opowieść i przemycam ją do referatu wygłoszonego na naukowej konferencji? Skąd to przywiązanie do błahej przecież anegdoty i poczucie jej nadzwyczajnego znaczenia?

Spróbujmy zatem wyjaśnić zagadkowy urok tej historyjki. Zaczniemy od dwu podstawowych, a zarazem biegunowo odmiennych interpretacji. Wedle pierwszej z nich, opowieść jest atrakcyjna, gdyż opiera się na uniwersalnej strukturze mityczno-baśniowej. To modelowa narracja o wędrownicy za siedem gór i rzek w poszukiwaniu cudownego remedium na doznane nieszczęście. Wyprawa trzech studentek byłaby wówczas pogonią za wolnością i pięknem, których zabrakło w ojczyźnie, co w sensie psychologicznym trudno oddzielić od młodzieńczego poszukiwania „samego siebie” („własnego ja”). Kiedy mityczni bohaterowie sprostają wszelkim trudom i dotrą na przepastne antypody, odkrywają tam znak, który nieoczekiwanie odeśle ich

z powrotem do punktu wyjścia i właśnie tam każe szukać upragnionego skarbu. Na tym schemacie zbudowana jest *Historia o dwóch, którzy spali*, słynny apokryf *Szeherezady* Jorge Luisa Borgesa, a także analogiczna opowieść chasydów (w notacji Jifiego Langer'a) czy szczególnie dziś popularny *Alchemik* Coelho. Drugie wyjaśnienie, krańcowo inne, jest *de facto* odmową wyjaśnienia, rezygnacją z jałowych spekulacji. Po co szukać utajonego ładu, mitycznego czy archetypowego (zawsze już gotowego, wzorcowego), skoro bez intelektualnej asekuracji i magicznych zasłon można doznać nieprzewidywalnego? Czy nie lepiej odważnie przyjąć to, co niesie ślepy traf? Wtedy śląski epizod w Katmandu objawi się jako nieokiełznana igraszka losu, wybryk urągający rachunkowi prawdopodobieństwa, fascynujący tryumf przypadku. Przypadku aranżującego tak dziwne spotkania, że nie-wyobrażalne wydają się nawet poetom:

Zgadnij, kogo spotkałam,
i to gdzie, w Kanadzie,
i po ilu latach.
Myślałam, że nie żyje,
a on w mercedesie.
W samolocie do Aten.
Na stadionie w Tokio.
Przypadek obraca w rękach kalejdoskop.
Migocą w nim miliardy kolorowych szkiełek.
I raptem szkiełko Jasia
brzdęk o szkiełko Małgosi.
Wyobraź sobie, w tym samym hotelu.
Twarzą w twarz w windzie¹.

W wierszu Wisławy Szymborskiej „przypadek pokazuje swoje sztuczki”, ale te sztuczki czasem się powtarzają, a powtórzone i ucu-krowane w literackich relacjach ulegają dewaluacji. A w życiu bywa podobnie jak w wierszu. Mógłbym poprosić jedną z trzech chorzo-wianek, żeby opowiedziała jeszcze jedną przygodę, wcześniejszą, trochę inną – ale podobną. Zdarzyło się to przy okazji jej pierwszego

¹ W. Szymborska: *Seans*. W: Eadem: *Koniec i początek*. Poznań 1993, s. 24–25.

wyjazdu za granicę. To były pierwsze samodzielne kroki po Nowym Jorku, pierwsza wizyta w barze na Manhattanie i pierwsza okazjonalna rozmowa z nieznajomym. O dziwo okazał się nim rodak, co więcej, chorzowianin, mieszkaniec tej samej dzielnicy. Znowu zagadkowy przypadek, ale bohaterka tego zdarzenia dawno o nim zapomniała, a indagowana dziś – macha ręką z lekceważeniem, zaskoczona, że ktoś zaprzęta sobie tym głowę. I ja dziwię się własnej głowie, łatwo rejestrującej tylko intrygujące detale. Co było w tym zdarzeniu szczególnego? Nie zapamiętałbym anegdoty o amerykańskim czy afrykańskim spotkaniu dawnych sąsiadów, gdyby na odległym kontynencie wpadli na siebie mieszkańcy Warszawy, Gdyni lub Sadowego, a nawet moich rodzinnych Katowic. Lecz tu zderzyli się chorzowianie i właśnie to zdaje się w oczach katowiczana absorbującym szczegółem. Chorzów bowiem graniczy z Katowicami, a że jest mniejszy, bardziej śląski i plebejski, często bywa lekceważony z perspektywy stolicy regionu. Taka koincydencja wzgardzonego Chorzowa ze splendorem Nowego Jorku musiała mnie dotknąć i poruszyć; i pewnie dlatego zapisała się w pamięci.

Można zatem sądzić, że ani zawrotny przypadek, ani siła fabuły inicjacyjnej nie stanowią głównego atutu przywołanych wcześniej opowieści. Smakując urok gawęd o zamorskich wyprawach, odkrywamy, że ich solą są zabłąkane tam detale, szczegóły przywołujące to, co znajome, głęboko uwewnętrznione. Choćby przedmioty, którymi w wierszu o dziwnych spotkaniach zongluje Szymborska: znajomy kieliszek w bistro, łyżka z ukradzonej zastawy, bransoletka. Ale w historiach, które usłyszałem i wiernie tu powtórzyłem, będą to raczej słowa, ich brzmienie i aura wywołana dźwiękiem. Więc kiedy celebruję po raz kolejny moment, w którym gromkie „Kaj my to som?” rozbrzmiało w himalajskiej dolinie, by wpaść w zaskoczone polskie, a zarazem śląskie uszy, to chodzi mi o konkretne spotkanie i fakt językowy, kiedy mowa absolutnie lokalna, domowa i rodzinna, moja mowa, moja śląska mowa, dała się nagle rozpoznać w przejmująco obcym, egzotycznym świecie. Rozpoznanie tak poruszające jak *anagnorisis* w greckiej tragedii, zawsze związane z „instynktem trwogi”, jak twierdził Nietzsche. „Znajome – wedle autora *Wiedzy radosnej* – to właśnie to, do czego się nawykło; a to nawykłe jest najtrudniej-

sze do **poznania**, to znaczy do spostrzegania, że tkwi w nim zagadnienie, czyli coś obcego, dalekiego, **zewnątrz nas...**²

Nietzscheańskie odkrywanie obcości w swojszczyźnie rozjaśnia postawiony problem, a jego zasadniczą stawką zdaje się dojmująca dwuznaczność domowego słowa. Lecz czy na pewno idzie o język Górnego Śląska, o jego niepowtarzalny ton i smak? Wątpliwości nasuwa mi własne doświadczenie. Bo mnie także zdarzyła się zagraniczna podróż i nieoczekiwane spotkanie. Kiedy w Atenach wybrałem się na Akropol i byłem już blisko celu, wtedy z tłumy turystów dobiegła mnie skarga: „na som wyrch to jo już nie wyleza!”. Zaskoczyło mnie to utyskiwanie zasapanej kobiety, ale tylko trochę, i – wstyd powiedzieć – bardziej ubawiło niż wzruszyło. Niespodzianka, owszem, ale umiarkowana, bo w sercu Grecji łatwo dziś spotkać rodaków, choćby wycieczkę z Tych. Inna sprawa, że Tychy to rodzinne strony mojej babci, więc intonacja utrudzonej Ślązaczki powinna poruszyć we mnie jakąś intymną strunę. Ale tym razem swojska mowa nie ścisnęła mi serca i cała przygoda, choć osobista i całkiem świeża, spokojnie odchodziła w niepamięć i dopiero przed chwilą, w trakcie pisania tego tekstu, wyszarpnąłem ją z zapomnienia. Jakże błahe okazało się to nieomal „rodzinne” spotkanie na Akropolu! Pomyśleć, że w tym samym miejscu Freud rozglądał się nieśmiało, a nawet sceptycznie, bo odczuwał wstyd wobec ojca prowincjusza, dla którego ten świat pozostawał niedostępny³. Więc dlaczego prowincjonalne „godanie” rozbrzmiewające w tak dostojnej przestrzeni budzi we mnie znikomy rezonans, natomiast podhimalajskie „Kaj my to som?”, choć tylko zrelacjonowane, niezmiennie przejmuję mnie dreszczem! Skąd ta różnica?

GŁOS OJCA

Nie myślę wikłać się dalej w swojsko-obcą grę różnic, aby zabrnąć – tu cytuję Derridę – „w te wszystkie problemy tożsamości, jak się

² F. Nietzsche: *Wiedza radosna*. Tłum. L. Staff. Warszawa 1910–1911, s. 312.

³ Por. Z. Herbert: *Duszyca*. W: Idem: *Labirynt nad morzem*. Warszawa 2000, s. 85–91.

głupio dziś mówi"⁴. Więc, żeby nie było głupio i nudno – porzucam globtroterskie opowieści i wracam do domu, by tu kontynuować poszukiwania. Myśląc o domu, muszę przywołać postać mojego ojca. Urodził się na Podolu, w Czortkowie, a do Katowic przyjechał po wojnie, już jako dorosły człowiek, w ślad za repatriowaną rodziną. Nie nauczył się miejscowej gwary i nawet nie próbował jej imitować, co rozważałem kiedyś w eseju *Pod klopsztangą*. Sięgając w tytule po śląskie określenie trzepaka, włączyłem je w „korzenne” dywagacje o ojcu, który „nie znał tego słowa i nie potrafiłby go nawet poprawnie powtórzyć”⁵. Z absolutnym przekonaniem relacjonowałem jego niezdolność do wyartykułowania choćby jednej brzmiącej po śląsku sylaby. Powstrzymywał go szacunek dla mowy, której nie chciał kaleczyć ani ośmieszać, ale też dystans wobec gwary, która zdawała mu się gorszą, bo „zanieczyszczoną” polszczyzną.

A jednak się myliłem! Padłem bowiem ofiarą tego, co psychoanaliza zwie wyparciem. Zapomniałem, że w języku mojego ojca istniał wyjątek od wyznawanej przez niego reguły. Wyjątek absolutnie wyjątkowy, bo czego ojciec nie robił ani robić nie chciał świadomie, czyli na trzeźwo, to zdarzyć się mogło pod wpływem alkoholu. Lecz tylko wtedy, gdy alkoholu było naprawdę dużo. Więc jeśli znalazł się w stanie radykalnego upojenia, wykrzykiwał z pasją – „Kaj my to som?” Tylko to, nic innego. Porzucał literacką polszczyznę i z przebogatej śląskiej mowy wybierał tę jedną jedyną frazę. Myślę, że był to niezwykle trafny wybór i dający wiele do myślenia. Ojciec sięgał po wykrzyknik o szczególnej ekspresji i intrygującej semantyce, wyrażając nim właśnie to, co chciał wyrazić. Komunikował bowiem doskonale swój stan woli i umysłu – entuzjazm i egzaltację istnienia, a zarazem dawał świadectwo opresji – osłabionej orientacji przestrzennej i ograniczonej przytomności. Więc ten pijacki okrzyk był najbardziej trzeźwą artykulacją zagrożonej czy wręcz zaburzonej tożsamości. Respekując zasadę *decorum*, był najbardziej stosownym zachowaniem werbalnym w tak osobliwej sytuacji egzystencjalnej.

⁴ J. Derrida: *Jednojęzyczność innego, czyli proteza oryginalna*. Tłum. A. Siemek. „Literatura na Świecie” 1998, nr 11–12, s. 34.

⁵ A. Nawarecki: *Pod klopsztangą*. W: Idem: *Pokrzywa*. Chorzów–Sosnowiec 1996, s. 151.

W ojcowskim „Kaj my to som?” nie było ani cienia szyderstwa; to efekt pasji wyrażanej całym ciałem, kompletnej identyfikacji ze słowem, jakby w tym akcie mowy dokonywała się swoista komunია ze Śląskiem. Ten dziki okrzyk, „wyście z siebie” i ekstatyczne połączenie z tkanką śląskości odczuwam dziś jako zdarzenie tak niezwykle, że mimowolnie i trochę swawolnie kojarzę je z moim naturalnym początkiem, z biologiczną i duchową inauguracją śląsko-kresowego mieszańca. Myśląc o swojej życiowej genezie, jestem święcie przekonany, że obok fascynacji i siły przyciągania różnoplemiennych rodziców była także miłość. I mam też nadzieję, że bez miłości, a przynajmniej przyjaźni, czy choćby tylko serdecznej bliskości, ojciec nigdy nie nauczyłby się świętego zawołania Ślązaków. Ta nauka musiała przecież polegać na wzajemności, bez której gorol nie mógłby zostać tak hojnie obdarowany przez hanysów. Bo skoro podzielili się z gościem swoim zaklęciem, okrzykiem bojowym i znakiem identyfikacyjnym, to musieli najpierw dopuścić go do wspólnoty. A ta – jak wiadomo – najłatwiej zawiązuje się przy stole, przy jedzeniu, piciu i rozmowie, przy wspólnym śpiewie lub wymianie biesiadnych zawołań, czemu zawsze sprzyja trunek.

I w taki oto sposób mój ojciec dostał, czy może wykradł skarb śląskiej mowy, a czując wartość tego zaklęcia, wymawiał je z rytualną dokładnością i niewygasającą afektacją poświadczającą jego moc. I w ten sposób, zapewne nieświadomie, ojciec przekonał syna, czyli mnie, że najważniejsze zdanie, jakie można usłyszeć na tej gościnnej ziemi, brzmi: „Kaj my to som?”

NA ŚLĄSKU

Co zatem znaczy ta arcyśląska fraza? Literalnie – jak łatwo się domyslić – tyle co proste pytanie „Gdzie jesteście?”. Odpowiednik równie zwyczajnego angielskiego „Where we are?” czy francuskiego „Où nous sommes?”. Pytanie jakby wyjęte z koniugacyjnej tabelki w podręczniku do nauki którego bądź języka obcego. Ale ten dosłowny przekład nie jest ścisły, bo kiedy Ślązak straci orientację w terenie, np. zaśnie w pociągu, to przebudzony zapyta: „Kaj my som?”. A to

znaczy co innego niż „Kaj my to som?”. Różnica minimalna, ale istotna – stanowi o niej obecność wtrąconego „to”. Kiedy pojawi się to słówko, pytanie traci wręcz pytającą funkcję, zyskuje natomiast na ekspresji. Staje się pytaniem retorycznym, pytaniem bez odpowiedzi, bardziej wyrazem zdziwienia niż dociekaniem o miejsce pobytu. Jakby dodanie lakonicznego „to” zmieniało paradygmatyczną konstrukcję w idiom. Idiom, który nie ma ścisłego odpowiednika w literackiej polszczyźnie ani w niemieckiej, ani w języku czeskim. A zatem nieobecny jest w językach, których bliskość i wpływ często oddalają śląską gwarę od polskiego kanonu. Więc jest to idiom uderzająco oryginalny, wzorcowo śląski.

Aż trudno uwierzyć, że jądrem idiomatycznej oryginalności jest jednosylabowy wyraz o niejasnym statusie gramatycznym. Zaimek wskazujący, który na nic nie wskazuje, albo niepoprawnie użyty przyimek lub pusta semantycznie partykuła. To maleńkie „to” jest tylko nieznacznym dodatkiem, minimalnie modelującym brzmienie (zwar-to-wybuchowa spółgłoska „t” konsonantycznie współgra z inicjalnym „k”, natomiast samogłoska „o” tworzy wewnętrzny rym z wygłosową sylabą). Niepozorny suplement, ale to dosyć, by wypracować różnicę, by oddalić się stanowczo od bazowego pytania – „Kaj my som?”.

Kiedy podziwiam ekonomię śląskiej mowy, przychodzi mi na myśl językowy eksperyment – próba powtórzenia tej samej operacji w polszczyźnie. Spróbujmy zatem do schematycznego pytania „Gdzie jesteście?” wstawić owo ekspresywne „to”. W ten sposób powstanie fraza – „Gdzie to jesteście?”. Dokładna kalka „Kaj my to som?” okazuje się niefortunna, aczkolwiek widać, że coś zaczyna się dziać między słowami. Ponieważ za słabo słysząc podmiotowe „my”, spróbujmy je tautologicznie podwoić: „Gdzie my to jesteście?”. Brzmi już trochę lepiej; znać, że ta fraza potrzebuje więcej ekspresyjnych, rytmizujących dodatków. Dołóżmy zatem kolejny przyimek lub partykułę. Można wzmocnić początek – „No gdzie my to jesteście?”, a można też rozszerzyć i jeszcze bardziej uwydatnić środkowe wtrącenie. Najlepiej obudować je mocnym słowem, dosadną frazą albo przekleństwem: „Gdzie my to, cholera, jesteście!”, „Gdzie my to, do licha, jesteście!” Albo jeszcze mocniej, jeśli kontekst i wrażliwość słuchaczy pozwoli: „Gdzie my to, kurwa, jesteście!”. Zdaje się, że zna-

leżliśmy jakiś odpowiednik śląskiego idiomu, ale niedokładny, bo zbyt jednostronny, przeszarżowany, opłacony nieuchronną domieszką wulgarności.

Przy okazji widać, że Ślązak nie musi uciekać się do grubiaństwa, bo dosyć werwy gwarantuje mu skromne, nieomal fatyczne „to”. Równocześnie warto wyjaśnić, że wulgarność traktowana jest tu nieco inaczej niż w literackiej polszczyźnie. Gwarowość czy ludowość sprzyja, jak wiadomo, dosadności, bliższa jest „cielesnego dołu”. Na Śląsku słyhać to najlepiej w bogactwie i pomysłowości wyzwisk. Ale ta obfitość kąśliwych epitetów jest skonstrastowana niezwykle ubóstwem „czystych” przekleństw. Respekt dla magicznej mocy klątwy dopuszcza tu użycie jednego bodaj tylko złorzeczenia, które polega na przywołaniu niszczycielskiego pioruna („pieron”), co na dodatek często bywa jeszcze osłabiane eufemizmami „pieruch” i „faron”.

Wolno zatem sądzić, że chociaż Ślązak potrafi obracać językiem wyjątkowo śmiało, zadziornie i deprecjonująco (z wydatnym udziałem humoru językowego), to zarazem nie chce, czy nie potrafi, zabijać słowem. Być może właśnie dlatego, choć dzielny i twardy, nie doroził się własnej armii ani nawet partii, a jeśli popada w skrajność separatyzmu – co rzadkie, wręcz wyjątkowe – to nie podkłada bomb.

Ta językowa glosa dotycząca waleczności Ślązaków, a raczej ich powściągliwego stosunku do agresji, znajduje potwierdzenie w retorycznych walorach zawołania „Kaj my to som?”. Cóż wart bojowy okrzyk, który jest pytaniem? Ale przecież wiemy, że to wezwanie nikogo nie obliguje do odpowiedzi. Nie wymusza, ani nawet nie domaga się stanowczego, ustanawiającego odzewu: „Jesteśmy na Śląsku!”, „Tu jest Śląsk!”. Nie słyszałem nigdy takiej repliki, choć zdaje się oczywista. Jeżeli nawet uznamy ją za nieuchronną reakcję, to pozostaje niewypowiedziana, zawieszona, stłumiona.

Jakże daleko jesteśmy od stadionowej ekspresji szalikowców, którym tak łatwo przychodzą zaczepne zapytania: „Czy tu jest Polska?”, „Czy tu są Polacy?”, „Czy jesteście Polakami?”, „Czy ty jesteś Polakiem?”. Niezręcznie jednak i niefortunnie posługiwać się dwuznacznym przykładem pseudopatriotycznych uniesień o chuligańskim rodowodzie. Zamiast nacjonalistycznego folkloru skinheadów przywołajmy lepiej szlachetną artykulację narodowej wzniosłości. Stosownym

przykładem zdaje się incipit *Mazurka Dąbrowskiego*. Kiedy pozbawieni niepodległości dawni Polacy śpiewali „Jeszcze Polska nie umarła, póki my żyjemy”, to w tę energiczną eksklamację wpisywali logiczny postulat, życzeniowy wywód, serię domyślnych pytań i budujących odpowiedzi. Jak może nie być Polski, skoro my jesteśmy? Skoro są Polacy! Oznacza to, że Polska być powinna, a nawet musi, choć nie ma jej na mapie. Ślązacy są nieporównanie ostrożniejsi, bardziej powściągliwi, wręcz nieśmiali. Nie rozważają, czy Śląsk jest, czy kiedykolwiek był, ani tym bardziej, czy jego istnienie jest konieczne. W ogóle nie mówią o Śląsku, nie wymieniają nazwy swojej ojczyzny ani siebie nie nazywają Ślązakami. Ani słowa o tym, że istnieją, że żyją, choć ten fakt akurat wydaje się oczywisty.

Historyk nie będzie się temu dziwił; rozpozna zbiorowość pozbawioną pewności, gdzie jest, skoro nie mieszka we własnym państwie, ani w literacko skodyfikowanym języku, ani w spójnie opowiedzianych dziejach. Jej terytorium bywało przecież rozdzielone między różne kraje i raz po raz podlegało innej jurysdykcji. Ślązacy, nie ruszając się z miejsca, otrzymywali rozmaite odpowiedzi na pytanie „Gdzie jesteście?”. Zależnie od dziejowego momentu bywali w Czechach, w habsburskiej Austrii, w Prusach, w odrodzonej Polsce, w hitlerowskich Niemczech, PRL-u, a wreszcie w III Rzeczypospolitej. I tylko przez chwilę znaleźli się w samodzielnym księstwie śląskim, co zresztą nie wydaje się momentem rozstrzygającym dla ich tożsamości. Więc przebudzeni w środku nocy, nie mają pewności, jakie słowo wpisano im do paszportu. Tytuł filmowej komedii *Jeżeli dziś wtorek, to jesteśmy w Belgii* wcale nie musi wydać się im zabawny.

Ale czy rzeczywiście są niepewni i zagubieni? Wydziedziczeni z symbolicznego porządku? Czy ich tożsamość jest tak wątła jak starożytnych Aborygenów lub ich imienników z podbitej Australii? Czy zostali skazani na status „autochtonów”, którzy indagowani o narodowość, określają się jako „miejscowi”? Nie są przecież bezrefleksyjnymi „tubylcami”, wszak nie identyfikują się całkowicie i wyłącznie – jak choćby przedwojenni mieszkańcy Polesia – z anonimową przestrzenią zamieszkania. Nie wskazują bezzadnie na ziemię pod stopami, lecz sami stawiają pytanie o terytorium. Pytają rzeczowo i podstępnie, naiwnie i przewrotnie – „Kaj my to som?”.

Kto pyta, nie kapituluje. Wręcz przeciwnie; wedle Heideggera „Pytanie »kim jesteśmy« zawiera w sobie pytanie o to, czy jesteśmy. Oba pytania są nierozdzielne, a nierozdzielność ta wskazuje tylko na skrytą istotę bycia człowiekiem, bycia dziejowego”⁶. Dotyka zatem kwestii zasadniczej – metafizycznej i historycznej zarazem. Podobne pytanie „Gdzie jesteśmy?” też zdaje się mieć ontologiczne ostrze. A kiedy fraza ta zabrzmiała w pełnej krasie: „Kaj my to som?”, to owo twarde i zaczepne jak ostroga „to” rozbija pozór defensywnej bezradności. Znak zapytania, terytorialna wątpliwość i metafizyczna rozterka wiążą się z pytajnikiem „gdzie?”/„kaj?”, natomiast gramatyczna podstawa tego zdania – „my som” – jest najprostszą proklamacją istnienia. Brzmi skromnie, konstatuje niewiele, ale za to stanowczo: „my som”. Albo nawet mocniej: „my to som”. Więc jesteśmy. Trwamy. Zapewne też byliśmy i będziemy, choć na pytanie „gdzie?” (tu? tutaj? tukej?, u siebie?) historia reaguje szyderczą mnogością zmiennych odpowiedzi, serią korekt na administracyjnej mapie.

Jest zatem śląskie pytanie „Kaj my to som?” deklaracją bycia problematycznie osadzonego w uporządkowanej przestrzeni, ale co za tym idzie, istnienia usytuowanego wobec siebie, na siebie zdanego, skupionego na sobie, na samym fakcie bycia sobą.

„Cóż bowiem znaczy bycie-Sobą? Czy **człowiek**, czy **my jesteśmy** wyłącznie dlatego, że po prostu pozostawiamy swojemu biegowi to, co nas się trzyma i w czym tkwimy? Zupełnie nie jest jasne, w jakim sensie jest człowiek, jak **my jesteśmy**” (53).

Dociekanie „prawdy bycie-Sobą” nie jest jasne, także dlatego, że jasne nie jest oddzielenie „ja” od „my”. Poetka egzystencji, Wisława Szymborska, chętniej używa formy „ja” niż „my”, podobnie postępuje Krzysztof Karasek w heideggerowsko brzmiących *Szkicach do poematu*, gdzie obsesyjnie powtarza incipit: *Co ja tu robię?*⁷. Być może należałoby tę właśnie frazę uznać za polski odpowiednik śląskiego „Kaj my to som?” (przyimek „tu” – pełni podobną funkcję jak ślą-

⁶ M. Heidegger: *Przyczynki do filozofii*. Przeł. B. Baran i J. Mizera. Kraków 1999, s. 54. Za tą edycją będę dalej cytował Heideggera, cyfry w nawiasach oznaczają stronicę.

⁷ Por. K. Karasek: *Szkice do poematu*. W: Idem: *Wiersze i poematy*. Warszawa 1982, s. 49–59.

skie „to”). Można zatem sądzić, że w Polsce przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku egzystencjalne pytania stawiało się jednostkowo, dojmująco indywidualnie; natomiast w szeroko pojętym śląskim „folklorze” – zbiorowo. Czyżby ta różnica wskazywała na jakieś znamiona „narodowego charakteru”?

„A dzięki czemu określa się istota narodu? – pyta niemiecki filozof. – Od razu staje się jasne: sposób, w jaki w pytaniu wprowadzone zostało to, o co pytamy, »my« zawiera już rozstrzygnięcie na temat »kto«” (52).

Czyżby zatem istniał jakiś specjalny, właściwy Śląskowi, związek pytania „kto?” i odpowiedzi „my”, tak dobrze słyszalny w pytaniu „Kaj my to som?”. Czy właśnie dlatego można uznać je za manifestację śląskości?

„Istotą narodu jest jego »głos«. **Głos ów nie przemawia właśnie w tak zwanej bezpośredniej wylewności zwykłego, naturalnego, prostego i niewykształconego »człowieka«**” (297). Tyle Heidegger. Jesteśmy blisko jego wyводу, ale zgoda z filozofem pozostaje problematyczna. Bo przecież wsłuchujemy się w **głos**, którego rodowód wydaje się zwyczajny, wręcz popularny, na dodatek anonimowo-zbiorowy, tymczasem „**Głos narodu przemawia rzadko i tylko przez niewielu**” (297). Nie mam zresztą pewności, czy jest to **głos** narodu, narodowej mniejszości, ludu, warstwy społecznej posługującej się gwarą czy grupy etnicznej. Te rozstrzygnięcia pozostawiam innym, samemu doświadczać pewności, że w tym właśnie pytaniu dobiega do mnie **głos** Śląska i Ślązaków. Przemawia jednak tak dziwnie, pytająco-twierdząco, niepewnie i zaczepnie, jakby moi przodkowie po kądzieli uwikłali się w jakąś biedę, jakby mieli kłopot ze swym istnieniem. „Nadaj temu wyrażeniu – **zaburzenie tożsamości** – całą powagę, nie wyłączając z niego konotacji psychopatologicznych lub socjopatologicznych”⁸. Tak radzi Jacques Derrida, ale ja wolalbym szukać powagi nie tyle w patologii, ile w teologii, w pojęciu grzechu, winy, kary.

A zatem elektryzujące pytanie „Kaj my to som?”, obok aspektu historyczno-politycznego (zbiorowość bez państwa gwarantującego własność zajmowanej przestrzeni) i filozoficznego (autorefleksja: czy

⁸ J. Derrida: *Jednojęzyczność innego...*, s. 39.

i kim jesteśmy), zawiera jeszcze jeden aspekt, uwikłany w kwestie winy – wymiar sakralny.

Wróćmy do początków ludzkości, których świętym świadectwem jest Księga Rodzaju. Rozdział 3. zawiera opis grzechu Adama i Ewy zwiedzionych przez węża. Kiedy ich otwarte oczy rozpoznały nagość, zasłonili się przepaskami, a słysząc kroki Boga, ukryli się wśród drzew. „Pan Bóg zawołał na mężczyznę i zapytał go »Gdzie jesteś?«” (3,9). Tak właśnie brzmi pierwsze pytanie Boga skierowane do człowieka. Pierwsze słowo po grzechu, pierwsze po ludzkim rozpoznaniu dobra i zła, pierwsze historyczne pytanie. Bóg nie pyta z żalem i wyrzutem: Co zrobiłeś? Jak się to stało? Nie docieka – Co czujesz? Kim teraz jesteś? Ale właśnie – „Gdzie jesteś?”, „Gdzieżeś?” (jak tłumaczy Jakub Wujek). Przerażony i zawstydzony Adam kręci, zwodzi, kłamie, zrzuca winę na Ewę. Najwyraźniej nie potrafi sprostac temu pytaniu. Czy wygnany z Raju zabrał je ze sobą? Nie powinien go chyba zapomnieć. Na pewno zaś zapamiętał je śląski Adam, powtarzając wytrwale – „Kaj my to som?”.